Tom I. Nr. 1.

1. Lipca 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na dobry początek.

W imię Boże! zapraszamy się do was w serdeczną gościnę, kochani ludkowie. Otwierajcie chaty wasze przed nami i po starodawnej gościnności bywajcie nam radzi!... Goścież bo my, goście... co się nie tyle domagamy po was chleba i soli, ile życzliwej chęci, i wiernej pamięci, i ucha bacznego, i serca miłego, — ta żebyście z chęcią przyjęli, a pamięcią zapamiętali, czego bacznem uchem zasłyszycie, a to wszystko miłem sercem pokochali. Więc naprzód święte sprawy, przykazania Boskie, Świętych żywoty i ich cnoty cudowne przedkładać wam będziemy przed oczy, abyście snadniej wiedzieli jak grzechu się ustrzedz, polepszyć na duszy i już za życia zasługiwać sobie na Boskie miłosierdzie. Więc potem świeckie sprawy, dawne dzieje, jak to po różnych książkach stoi mądrze napisano, podamy wam dla pamięci. I powieści z czasów dzisiejszych: o dobrych i złych ludziach, o zdrożności i przykładności, o doli i niedoli naszej, opowiadać wam chcemy gwoli zabawy, pociechy i dobrej nauki. I znowu pouczym was, kędy miasta nasze leżą, kędy rzeki nasze płyną, jakie zamki i kościoły, jakie pamiątki z dawności nam pozostały, a to żebyście, jako on dobry gospodarz dbały o swoje, który wie doskonale gdzie on leży w jego

obejściu, tak i wy mieszkający w tym kraju, obeznali się ze wszystkiem co w tym kraju jest. A i gospodarz na swoje gospodarstwo znajdzie tu niejedną dobrą poradę, i człek zaniemogły — jak sobie ma w złej chorobie poczynać, i matki wasze przy dzieciach — jak je uchować w dobrem zdrowiu.

I owóż to jest z czem do was zapraszamy się w serdeczną gościnę.

Takiego pisma będziecie dostawać z poczty waszej co dziesięć dni po osiem kartek, abyście mieli przy wolnej chwili choć coś do przeczytania. Nadto kto pilnie czytać będzie, otrzyma obrazek, który sobie będzie mógł w ramki oprawić i tem przystojniej swoją izbę przystroić. Żeby się wam zaś gdzie te pojedyncze kartki nie zatraciły, przyślemy wam na nie co sześć miesięcy okładzinki, a tak co pół roku zrobicie sobie jedną książkę z tego coście przeczytali i przechowacie ją dla dzieci swoich zanim podrosną. Cała ta sztuka kosztować was będzie na rok dwa reńskie nowe. Porachujmyż sobie na dnie abyście wiedzieli, ile to tego na dzień wypadnie. Rok ten w którym jesteśmy — jest rokiem zwyczajnym, więc liczy w sobie 365 dni. Gdybyście co dnia do swojej skarbonki składali po jednym grajcarku nowym, uzbieralibyście tego do roku 365 grajcarów. Tymczasem na to pismo nie potrzebujecie wydać, tylko 200 grajcarów, więc jeszcze nadto 165 grajcarów pozostałoby wam w skarbonce z tej codziennej składki po grajcarze. Czysty zysk! bo jak widzicie, przy końcu roku mielibyście swoje własne dwie książki w okładzinkach, i jeszcze w dodadku 165 grajcarów w skarbonce... a to wszystko sprawił ten grajcarek, coście go sobie co dnia składali. Mój Boże! a jakże to mało — to taki pieniążek jeno zda mi się dmuchnąć w powietrze, to by i nie wiedzieć gdzie się podział — a przecie po jednemu zbierając, tyle z niego będzie do roku pożytku!

KRÓL W KUMACH.

Ile praw, murów widzisz, to Kazimierzowi
Przypisz mało nie wszystko, Wielkiemu królowi.
A przytem Kazimierz Wielki, królem chłopków zwany,
Bo kochał bardzo chłopków, i był też kochany.
S. Klonowicz.

I.

Pięćset lat temu z górą... dużo lat, toć i dużo musiało się poinaczyć w tej naszej ojczyźnie. Bywało dawniej, gdzieś zajrzał okiem — lasy i puszcze nieprzebyte. Rosochate dęby, setne jasiony, wiązy i szare buki, białe topole, słodkie lipy, smukłe sosny, smereki i rzadko gdzie dzisiaj widziane modrzewie — rosły sobie pod słonkiem szeroko i wysoko. Po nad niemi często gwałtowały burze tak srogie, iże dęby najtęższe łamały niby chruścinę. W ich gęstwiach chowało się zwierza dzikiego bez liku, jakiego dziś nie napotkasz już w kraju; po krzakach i szerokich gałęziach tłumiło się ptactwo wrzaskliwe, a w wypruchniałych pniach starego dębu albo wonnej lipy roje wolnych pszczół składały sobie słodki miód.

Wtedy to ludu nie bywało tak mnogo jak dzisiaj, nie gęsto wiosek i białych dworców — a co do miast murowanych, to siła mil musiałeś upalić, zanimeś napotkał które, a i te nie takie ze wszystkiem kamienne były jako po dziś dzień, jeno po większej części pobudowane z drzewa. Powoli potem na tych puszczach, po lasach budowali się ludzie. Pracaż była to nie lada! dużo lat zeszło, zanim taka gromada pilnych osadników wykorczowała sobie dostatnie miejsce na mieszkanie, powytykała granice, poprawiała i na korczunku poobsiewała pole. Ale bo wtenczas nikt sobie z ludu nie krzywdował w pracy, każdy się imał ochoczo do pługa, siekiery, radła i motyki, mając sobie taką pracę przy życiu uczciwem za honor, a kto by się tego chronił i lekszego zarobku w kupiectwie z żydowskiem tałałajstwem pospołu szukał po miastach, tego owszem wyśmiewano i podawano w nienawiść.

Owóż właśnie w onych dawnych czasach na ziemi Sandomirskiej za Wisłą, nie wiele mil od Krakowa królewskiego miasta, była sobie wioska taka cicha między lasami. Ludowina zgodna, spokojna, Bogu swemu i pracy oddana, mieściła się po starych

chatach pospołu z tem wszystkiem, czem ich łaskawe obdarzyły nieba. Na każdej strzesze długonogi bociek na szczęście miał gniazdo, ta nieraz bywało kiedy go zima wczesna zabiegnie w kraju, zakwaterował się do izby gospodarzy i z dziatwą żyjąc w przyjaźni, doczekiwał się tam zielonej wiosny. Po przed domostwa wiła się drożyna od lasu do lasu; wedle potoczek nie wieliczki tłukł się po kamienistym spodzie, sycony chłodną wodą ze źródeł lasowych. A za potokiem już pola i lasy kwitnące i na wzgórzu cerkiewka albo inaczej kościółek z modrzewia o trzech kopułkach z błyszczącemi krzyżmi. Tuż obok dwie stare lipy szumiące... a na ich konarach trzy rozgłośne dzwonki — taka była wioskowa dzwonica. Zaś nie opodal cerkwi widniał ze sadu szary domek księdza Franciszkana, którego starsi przysłali tu z miasta Krakowa, aby czuwał nad ludkiem tego sioła jako pasterz duchowny.

I było to jakoś już o późnej wiośnie. Rankiem porozbiegali się ludzie do pracy, jak komu wypadło; po chałupach pozostały tylko gazdynie, zaprzątnione wedle gospodarstwa domowego i dziatwa drobna igrająca na świeżej murawie przed chatami do słonka. Podrostki zaś pognały bydło ku lasowi na słodką paszę. Pogoda była tak piękna na niebie, że jeno się za to Panu Bogu pokłonić; po lasach zieleniały drzewa gęstym liściem, a w nich ptactwa wesołego jak mrowia... aże w powietrzu głuszyło się od ich rozmaitego spiewu.

Z tej strony sioła gdzie ano dwie drogi się schodzą, jedna co idzie odewsi w prost ku lasowi, a druga co wiedzie w poprzek pod samym lasem, — tam stała stara grusza na oznakę graniey. Setne to było drzewo i Bogu chyba wiadomo od wielu już lat strzegło tu granice i słodki rodziło owoc. Ale bo szanowali go ludzie obcy i swoi, jako że za poszkodowanie takiego granicznego znaku winowajca obwieszon bywał na gałęzi. A znowu ani go burza ani piorun ognisty nie raził, bo go od takowego przypadku chroniła Matka Boska i Pan Jezus, w cudownym obrazie między gałęzie osadzone. Nie opodal tej gruszy, na okrawku żywej dąbrowy pasła się krówka rozkoszna gdyby łania i żwawo uwijała się po bujnej a żyznej trawie. Na nią dawała pozór dziewuszka nieletnia. Niestrojnaż bo niestrojna! koszulinka zgrzebna,

w pasie opięta rzemieniem i krasną szmatką podwiązana pod szyją, tyle na niej wszystkiego jej stroju. Ale miała ci ona za to inne drogości od Niebieskiego Pana sobie nadane, jakich nie kupić za żadne pieniądze: miała buziaczek świeży jak czerwone jabłuszko, miała oczka takie czyste jak gwiazdy niebieskie, a na głowie włos jasny niby len wyprawiony jeno błyszczący gdyby od złota. Ta zresztą co najlepszego, miała duszyczkę poczciwą; bo że dobrą była, zaraześ to po niej zmiarkował jak skorożeś tylko na nią raz spojrzał. Więc krówka sobie a ona zaś sobie za kwiatkami po trawie chodziła. I gdy ich już sporo w obie garście narwała, poczęła wić piękne wianki: ta jeden dla Matki Boskiej, ta drugi dla pana Jezusa, ta trzeci dla siebie samej. Ale przy tej pracy nie zaniechała poglądać od czasu do czasu za krówką, zwłaszcza że niedaleczko kwitnęły pola gromadzkie, a u bydlęcia nierozumnego nie trudno leźć tam gdzie mu się nie należy.

— Maryś! a dawaj pozór żeby gdzie nasza nie zalazła w szkodę, bo to grzech! — tak jej co dnia prawili doma ojcowie gdy w pole ganiała. Więc ojców słuchała i grzechu na to mówiąc jak ognia się strzegła.

Sporo szła jej robota, oczkami śmiała się do kwiatków — i był już gotów wianeczek jeden, wnet drugi aż i trzeci na ukończeniu. Tak duchem poskoczy ze ziemi i już ci po gałązkach niby wiewiórka jaka wydrapała się na gruszę i do świętego obrazu. I jak miała trzy wieńce, tak jeden dała Matce Boskiej, a drugi panu Jezusowi, a trzeci sobie samej. A że umiała do tego spiewki — więc spiewała niby jaka ptaszyna z po za gałęzi rozkwitłej gruszy cudną pieśń do Maryi panny.

Bogarodzico dziewica, Bogiem sławiona, Marja!
U twego Syna, hospodyna, matko zwolona, Marja!
Ziścij nam, spuścij nam — Kyrie elejson —
Twego syna Chrzciciela w zbożny czas.

Taki początek tej pieśni cudownej, którą ano teraz zawodziła nasza dziewuszka na gruszy przy świętym obrazie. Już natenczas kiedy się to działo, pieśń ta była bardzo dawną i od wielu lat w Polsce znaną. Pierwszy św. Wojciech, biskup — apostoł i męczennik nasz pierwszy pochwalił nią Bogarodzicę — więc temu już po dziś dzień będzie lat dwiewięćset. Za nim śpiewała

ją cała Polska przez dużo, bardzo dużo lat. Od mizernego kmiotka do samego króla pana, od drobnego dzieciaka do późnego starca wszyscy ją mieli w uściech i na sercu.... I ojciec co z pługiem wyjeżdżał na pole, i matuś co kolebała dziecię swoje doma, i człek wojenny co piersią żelazną odpierał wroga od polskiej granicy, wszyscy zarazem śpiewali: Bogarodzica!.... Ta zasiew się udał, rola gospodarzowi dała chleba podostatkiem, ta dzieciak doma podrastał jak sośniak, a zdrów jak rybka, ta i wojenny człek pobił kilkakroć silniejszego wroga i wrócił szczęśliw do domu. I była szczęsna dola po wszystkiej ziemi naszej za niebieską sprawą Bogarodzicy — aż póki.... At co znowu, rozgadałem się jak na to mówiąc dziad na odpuście, a tu nasza dziewuszka spiewa sobie a spiewa pieśń Bogarodzicy na gruszy, aż gdzieś daleko, bardzo daleko po lesie rozchodzi się to jej cudne spiewanie. — Cyt maleńka!.... cosik tam w lesie zaszumiało niby od wichru. Gdzie tam, Maryśka ani zasłyszy tego w śpiewaniu.

Ale ba, taki to nie wicher szumiący, bo ani na raz się nie uciszy, a ziemia na leśnej drodze dudni, że już wyraźnie znać tętent kopyt końskich.... cytże Maryśka!

Daremnie! dziewucha jak nie słyszy tak i nie słyszy, i właśnie co już kończyła śpiewanie temi słowami:

. . . Amen, amen, amen.
Tako Bóg daj, byśmy poszli wszyscy w raj,
Gdzie królują Anieli —

gdy na skręcie drogi z lasu okazał się człek jakiś na koniu. Jak ci ten śpiew dziecka zasłyszał, tak duchem ściągnął bystrego konia że stanął jak wryty w miejscu. I dalejże głową kręcić a oczyma patrzyć na wszystkie strony, na przekonanie co to jest. Słucha, głos idzie od gruszy; więc puszcza się tam wprost, zdejmuje czapki futrzanej i podpatruje ciekawie pod gałęzie, osypane gęstym liściem i czerwonym kwiatem.... aż przecie dowidział spiewaka.

— Na miły Bóg! zawoła dobrym głosem — a toż mi dopiero ptaszka śpiewająca!... hej dziecko, a co ty tam robisz?...

Dziewuszka zagapiona tak niespodzianie od kogoś, co to nie był ani jej ojciec, ani brat, ani żaden znajomek, ale jakiś obcy pan czy wojak, taki zbrojny, a taki strojny, a czarnowłosy, a z czarną brodą, a postawy pysznej, a siedzący na koniu bystrym, na

koniu wronym jak kruk — oj, źle! poduma sobie w duchu, a może to jaki niedobry człek!... i dygocąc cała od strachu jak nieprzymierzając wiotka trzcinka na stawie, tuli się oburącz do świętego obrazu nie rzekłszy ni słowa. A tu na domiar jej trwogi wali z lasu na drogę cała czereda takich panów czy wojaków, strojno, zbrojno, chłop w chłopa, koń w konia.... aż się w dziewczynie dech zaparł od lęku. Tak jak powychodzili z lasu i onego pod gruszą zajrzeli, zaraz ci wszyscy osadzili konie w miejscu i pozostali tak opodal stojący w milczeniu. Znać było że to słudzy pańscy, a on pod gruszą ich pan.

— Słuchaj dziecko! mówił ten pan znowu a po trochu zacinał w mówieniu. Nie bądź-że taka płochliwa jak jaka prawdziwa ptaszka. Przecie ja ci nic złego nie myślę zrobić, zwłaszcza kiedy tak ładnie spiewasz na cześć i chwałę naszej Niebieskiej Królowy.

Tem przemówieniem opamiętała się nieco dziewczynka z przestrachu, ale zawsze jeszcze nie dowierzając, popatrzy z pod ręki lękliwie na nieznajomego. Ta jak uwidzi twarz jego piękną i dobrotliwie uśmiechniętą, i te oczy jego tak jasno ku niej patrzące, już wtedy innego nabrała serca i jakby do jakiego swojaka przepowie:

— No, kiedy powiadacie żebym się nie strachała, niech będzie i tak. Ale na Matkę Boską!... straszniem się was była przelękła na razie.

— Jak ty się dziecko nazywasz?....

— Marysia, wołają mię doma i na wsi, chyba że się na mnie pochmurzą — to wtedy Marynka.

Uśmiechnął się pan dobrotliwie na takie szczere gadanie dziewuszki i zapyta o ojca, ta i o macierz i o resztę rodzeństwa jeśli ma. —

I dowiedział się pan czego chciał. — Ta że ojciec Janko, a matuś Jaga co siedzą ano w tem siole na prost kościółka; ta że matuś zaniemogła cosik od wczora, a że ojciec już nie od wczora czegoś się wielce markoci, a patrzy po kątach, a wzdycha ciężko z piersi niewiadomo czego, bo dzieciom nic o tem nie powiada; ta że ona Maryś ma brata starszego Stach co już wart chodzić za pługiem, i Bognę siostrę nad sobą, i Zosię co jej niedorosła, i Wicka braciszka małego, i najmniejszą Magdusię

co to ją właśnie tamtej wiosny jak powiadali matusia — bociek przyniósł od Boga.... ta i tyle wszystkiego.

I policzył sobie pan w głowie, co zasłyszał od dziewuszki i zaraz zmiarkował, że ich było sześcioro, a gazda i gazdyni dwoje — więc razem ośmioro w rodzinie. I już na to nic; jeno się bardzo ucieszył że dziewczynka taka mowna a znowu taka pamiętna na Bożą Rodzicielkę i pana Jezusa, wijąca dla nich świeże wianki co rana.

A oni słudzy pańscy co stali na koniach opodal, mocno się temu dziwowali, z kim to ich pan tak rad rozgaduje się pod gruszą; bo że gałęzie były gęste a liścia i kwiatu pełno — nie mogli nic widzieć. Aż kiedy pan ściągnął ręce do góry i zwiódł dziewuszkę łaskawie do siebie na konia, dopiero wtedy ujrzeli kto był. Ale przeto dziwować się nie przestali i z ciekawości oczy a gęby rozwierać szeroko, zkąd bo znowu taka serdeczność pańska do obcego dziecka!....

Tymczasem pan trzymając Marysię przed sobą na koniu, przypatrywał jej się oko w oko z taką twarzą dobrą, jak na to mówiąc właściwy ojciec na swoje dziecko patrzący. Tedy i Maryś już ani krzty nie pokazywała strachu po sobie. Czuła ona że to człek dobry co ją tak niby ojciec piastuje i tuliła się doń życzliwie. I dał jej pan ojcowskie pocałowanie na czoło a potem z konia postawił na ziemię:

— Pozostań z Bogiem, Marysiu! — powiada, a pociesz ojca, niech się nie frasują tak bardzo, bo jest ktoś taki na świecie, co mu niebawem pociechę wniesie do chaty w imię Jezusa i jego Matki przenajświętszej.

To mówiąc przed ś. obrazem uchylił czapki futrzanej, przeżegnał się krzyżem ś., zwrócił konia na miejscu i błyskawicą pognał wedle lasu dróżyną, a za nim i reszta na koniach pomknęli w cwał. Zadudniała ziemia z pod kopyt końskich jak gdyby zagrzmiało gdzieś niedaleko, wiatr mocny powstał i wielką kurzawę sprawił na suchej drodze, a z pobliskich drzew popłoszone ptactwo z krzykiem uleciało w głąb lasu. Niebawem wszystko ucichło, kurz się rozsypał w powietrzu i na drożynie pod lasem już żywej duszy nie było.

(Za drugą razą opowiemy wam co się stało dalej.)

SPIEWKA O DZWONKU.

Ułożył Bartłomiej z pod Wiśnicza.

Hej w Krakowie, w sławnem mieście wielkie kamienice —
Wyszło z zamku trzech trębaczów na grodzką ulicę:

Wojewodów na naradę król zwołuje stary,
Jakby uczcić Pana Boga za rozliczne dary.

I zasiędą Wojewody. radząc nieustannie,
Jaką cześć by oddać Bogu i najświętszej Pannie....

— Hej po majstra, po sławnego poszlijmy za morze,
Niech dzwon leje co największy, sławić dzieła Boże!

I przyjechał sławny majster, skłoni się koła —
Topi mosiądz i miedź topi na dzwon do kościoła;

A jak topi, tak dziad stary idzie sobie drogą —
Torby jeno na nim widać i świtę ubogą, —

Ale w ręku miał bogactwo największe na ziemi:
Miał dziadowską starą lirę z strunami śrebrnemi....

A jak przyszedł nad fabrykę dziadek ten i żebra,
Zerwał i do kotła z miedzią rzucił strunę z śrebra....

I ulał dzwon sławny majster, zawiesił na wieży,
A dzwon dzwoni, a dzwon dzwoni coraz szerzej, szerzej, —

I po całej Polskiej ziemi tem głośniej, czem dalej —
A tak dziwnie jakoś czule, aż ludzie spłakali....

Od śrebrnej to struny z liry głos tak cudny spada —
Oj, nie tak od tego śrebra, co od serca dziada....

Oj ty dziadu stary dziadu, pomagaj ci Boże —
I niech pacierz twój na niebie nam też dopomoże, —

Niech uczciwie i serdecznie lud nas słucha wszelki,
Bo my także dzwon lejemy, chociaż nie tak wielki, —

Bo my także dzwon lejemy, dzwon chociaż nie z miedzi —
I by ulać go majstersko, głowa nam się biedzi, —

Bo my także dzwon lejemy, chociaż nie na wieżę —
A lejemy go pobożnie, lejemy go szczerze....

Dzwonek ci nasz oj, dzwoneczek wam do chat zagości —
Otwierajcie mu wrota w uczciwej miłości....

Dzwonek ci nasz, mały dzwonek, dzwonek papierowy,
Niech wam serca rozwesela, niech naucza głowy....

Dzwońże dzwonku nasz maleńki, dzwoń przez kraje całe —
Dobrym ludziom na pociechę, a Bogu na chwałę! —

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Gromada Krościeniecka.

Nic tak człowieka nie polepsza, jak kiedy widzi drugiego w dobrym uczynku. Ojcowie przykładni wdzięcznych dochowują się dzieci, gospodarze rzetelni rzadko narzekają na sługi swoje, starsi w gromadzie, stojący dobrym przykładem, nie wiele mają do czynienia z niepoczciwością w swojej gromadzie, bo za ich przykładnym żywotem i reszta na wsi idzie ku ulepszeniu.... i tak dalej, jak nas opatrzność boska ustanowiła na tym świecie: niżej albo wyżej, w każdziusieńkim stanie winniśmy się tak zachować, aby niżsi mieli z nas dobry przykład, a u wyższych abyśmy sobie zasługiwali na miłość i szacunek. Że tedy tyle przypisujemy dobrego przykładności ludzkiej, dla tego od czasu do czasu, skoro gdzie wyczytamy w jakiem piśmie, albo zkąd innąd dojdzie do naszej wiadomości dobry uczynek jakowego człeką, podamy go wam w tem pisemku na dobry przykład.

Otóż dziś opowiemy wam o pięknem zachowaniu się Gromady Krościenieckiej, cośmy o tem wyczytali w Czytelni Niedzielnej. A ta Czytelnia Niedzielna to takie pismo jak i nasze oto, jeno że nie we Lwowie ale w wielkiem mieście Warszawie pisane dla tamtejszego ludu i czeladzi rzemieślniczej, z wielką dla nich pociechą i nauką. I stoi tam tak napisano:

„Siedm lat temu, gdy w Galicji w Krościenku, co jest wieś w obwodzie Jasielskim, dnia 18. listopada wszczął się straszliwy pożar i od razu ogarnął płomieniem dworskie stodoły i budynki gospodarskie ze wszystkiem.

Pożar na wsi jest groźniejszy zawsze, niż w mieście; bo ogień łatwo się rozszerza po dachach słomianych i ścianach dre-

wnianych, i na pomoc niema tyle rąk gotowych i sposobów, jak w mieście, aby przytłumić płomienie.

To też w Krościenku rozpacz ogarnęła dziedziców, gdy pożar wybuchnął, i coraz wśród kłębów dymu chwytał budynki, zamieniając w popiół. Aleć Bóg, gdy dotknie srogą klęską, to i pomocy nie odmówi w nieszczęściu. Gromada wiejska na pierwszy okrzyk trwogi, zbiera się razem i biegnie na ratunek, a na jej czele spieszył Stanisław Olbrecht, kmieć z Krościenka. Za jego przewodem jedni rzucają się śmiało w zajęte płomieniem budowle, i ratują inwentarz i sprzęty, drudzy zasiedli na dachach dworu, stajni i obory, nie dając przystępu pożarowi.

Ogień trwał przez noc całą, i przez dzień cały następny, zanim dzielną pomocą gromady potłumionym został. Kiedy dziękowano Bogu za szczęśliwy ratunek, spostrzeżono, że braknie najdzielniejszego obrońcy, Stanisława Olbrechta. Zacny ten kmieć nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, padł ofiarą swego poświęcenia. — Ciało jego osmolone leżało pod niedopaloną belką z zapadłego dachu. I państwo z Krościenka, i gromada cała, otoczyła martwe zwłoki szlachetnego człowieka, co padł jak mężny żołnierz na polu chwały, i z płaczem modlili się za jego duszę. Gromada zasmucona boleśnym zgonem Stanisława Olbrechta, nie poprzestała na dzielnej obronie, ale po krótkiej naradzie, wszyscy pospieszyli do domów, aby zasobami gospodarskiemi wspomódz nieszczęśliwe w pogorzeli państwo. Kmiecie i gospodynie, ci siano, słomę i owies dla pozostałego inwentarza, a ziarno na chleb — te drób, masło i co było w chacie, ochoczo znosili. Z płaczem wdzięczności przyjmowało państwo te dary z ręki zacnych i pracowitych włościan, co nie pożałowali tak krwi swojej jak i mienia swego na ratunek bliźnich, wedle przykazania Bożego: *„będziesz miłował bliźniego twego, jako siebie samego.“*

DOBRY GOSPODARZ.

Mało masz u nas takich gospodarzy, którzyby warci byli zwać się jak to mówią: gospodarzami całą gębą. Jużcić jeść albo pić całą gębą — o! na to, to już każdy jak na lato; ale postarać się o to pracą i rozumem, aby tego jedzenia starczyło

na życie — do tego niewiele między nami ochotnych. Z tej przyczyny nieszczęsna bieda panuje sobie po naszych wioskach, od wiosny do wiosny. Toć kiedy innym rado uśmiecha się słonko wiosenne, naszym ludziom natenczas zwykle najsroższa doskwiera niedola. W stodołach i po zasiekach proch jeno czysty, mysz by się tam nawet nie pożywiła, — w chałupie pięknego ziarna nie uświadczysz choćby na lekarstwo, — co było w komorze z przyodziewku i innego majątku, poszło do żyda za jaką ćwiartkę mizernego pośladu, gazda — prawie cień tylko człeka, ledwo nie ledwo powłóczy się tam gdzieś na jaki zarobek chwiejący z osłabienia, gazdyni rozpala na kuchni, ale do ognia chyba garnczek z czystą wodą przystawi, ta uzbiera tego zielska po miedzach, zażyczy się gdzie jeśli można na jaką garść pośladu, zmiele to na prędce, zrobi zaprażkę do owej niepociesznej strawy i taką na południe niesie swojemu ku posileniu, — a na dziatwę piszczącą z głodu po chałupach aż żal popatrzeć.... takie to nędzne, zmizerowane, niby nieludzkie stworzenia. Jak się nazywa ta bieda, chodząca o wiośnie po naszych ludziach?... wiadomo każdemu że przednowek. Przez cały rok straszą się nim ludzie i prawda że się mają czem straszyć, ale zaradzić temu ani im w myśli nie postanie. Da Bóg łaskawy ile tyle chleba w lecie — to halo! używa po szyję, nie dba o zarobek, choćby mu się sam garnął do ręki, marnuje za wódkę u żyda i tak żyje na obrazę Boską, na zgorszenie ludzkie i na własne nieszczęście, dziś jakby jutra nie było. Aż kiedy pustki w komorze, dopiero wtedy: zmiłuj się Boże! skwierk, lament, ale już po niewczasie — bieda przez próg lezie... nie ujdziesz jej nieboże. Prawda iż często gęsto zażyjesz przednowku choćbyś i niekoniecznie taki był utratny; ale że padł nieurodzaj, albo grad wybił na polu, ogień zniszczył, woda zalała, albo że niemoc przypadła na cię ze złej choroby i zmarnowałeś sobie siła czasu bez nijakiego zarobku i grosz uciułany z dawnego lata wydałeś na leki. To prawda — przypadki chodzą po ludziach i za to też człek sobie niewinny: chyba że to pokaranie Boskie za wielkie grzechy, — wtedy nad wszystkich ów grzesznik winniejszy. Ale o takich przypadkach tu mowa, na które sobie człek nie zasłużył — bo w tem Boska wola, i temu już najlepsze nie zaradzi gospodarstwo. W tym jeno razie, gdzie sobie sam człek winien,

dobra rada nadać się może, jeśli tylko jest wola po temu i szczera do pracy ochota. I do tych dobrowolnych i pracowitych właśnie przemawiamy tem pismem, podając im rady, przestrogi i nauki gospodarskie, przez ludzi doświadczonych i tego dobrze świadomych, po różnych książkach spisane.

Dobry gospodarz przedewszystkiem powinien wiedzieć, iż to, co ma, to naprzód Boskie, a dopiero jego. Taki gazda nie zaprzepaści majątku z dobrej woli, uważając iż nie ma prawa, rządzić się sam bez pozwoleństwa Bożego. I jako ten dobry sługa, który się z każdą rzeczą odnosi do pana swego, tak i on nie rozpocznie żadnej pracy bez pana Boga. Pracuj we dnie, pracuj w nocy — Trudnoć bez Pańskiej pomocy. Tak powiadał jeden mądry człek przed dużo laty, i bardzo mądrze powiadał. Miły też sługa nie poważyłby się urazić na siebie dobrotliwego pana; — więc i on miłujący w służbie swej pana Boga, oraz i w bojaźni Bożej żyć będzie, dający baczny pozór na swoje postępki. Szczęście tam bywa, kędy bywa Boska trwoga — wiadomo wam z dawności. Dość jednem słowem, gospodarz dobry żyć będzie wedle przykazania Boskiego i stanie mu się dobrze: bo jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie.

Dobry gospodarz nie będzie zadzierać z sąsiadami swymi; zgodny, przyjacielski, nieuraźliwy, cudzej miedzy nie zaorze, bydlęcia nie pogna w szkodę, obcej pracy nie ruszy, choćby tyle znaczyło co na marną szpilkę: bo z ludzkiej krzywdy człek nie otyje; — jeno własna praca popłaca.

Dobry gospodarz dla starszych z wieku i urzędu, będzie miał poszanowanie, bo takać już prawda na świecie: że kto nie poszanuje starszych, tego na starość psy gryzą. Dla młodszych znowu stać będzie dobrym przykładem, nie pogorszy on dzieci ani czeladź swoją żadnym złym uczynkiem, zawsze pilny, trzeźwy i rządny — taką też i czeladź mieć będzie do pomocy i na stare lata z dzieci pociechę. Ze swoją co mu się stała matką jego dzieci, żyć będzie w zgodzie i miłości, do garnczków jej się nie wtrąca, jej dobrej zady posłucha, ale przewodzić nad sobą nie da — biadaż bo temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi. A dla ubogich zawsze ma serce otwarte i chleb gotowy, już to dla samej ludzkości, już dla przy-

kazania Chrystusa Pana, który rzekł; kto daje ubogiemu — tak jakoby mnie dał.

Dobry gospodarz idzie najpóźniej spać a najraniej wstaje, zato mu też Bóg daje — wedle przypowieści. Sam wszystkiego dojrzy własnem okiem, by nie dołożył workiem, ładu i porządku się trzyma, każdą rzecz w swojem gospodarstwie i po ciemku namaca, dba oto aby chałupa była zaopatrzona jak się patrzy, ciepła, czysta i widna, boć to z drowia dodaje, a tego jak wiemy nie kupić za żadne skarby, gdy się go raz utraci. Podobnie i inne budynki trzyma w dobrym stanie, stodołę aby mu zboże nie zamakało, oborę aby mu bydle od zimna i innej niewygody nie zmarniało. Płoty u niego pięknie ogrodzone i zaciernione, przez co i nie jednej szkody się ustrzeże i u ludzi będzie dobrze opisany — gdyż jak cię widzą, tak cię piszą. Zresztą od czeladzi nad siły nie żąda, bydlęcia w pracy nie przeładuje, każdemu da co mu się należy, brzydkiej chciwości nie zna, ale niepotrzebnego zbytku się strzeże, w czas przyzwoity zabawić się sam lubi i drugiemu nie broni, byle w miarę — bo i dobrego za nadto nie zdrowo.

Dobry gospodarz w czas w polu obrobi, postara się o czyste zboże do zasiewu, bo jak to powiadają: Który człowiek plewami sieje swoją rolę, Taki nędzę będzie żął i swoją niewolę — i nie pożałuje ręki, wydatku i czasu, gdy z dawnej już praktyki wiadomo: że skąpy w gospodarstwie dwa razy na tem traci, i że pieniądz i praca w roli nie zginie, lecz owszem w dwójnasób się wraca.

Dobremu też gospodarzowi nie dosyć na samej roli boć on co się na wszystkie strony ogląda, wie że może paść nieurodzaj, grad, wielka woda; ot i byłoby już po chlebie. Dla tego i wedle sadu krząta się pilnie i poucza się od drugich jeśli jeszcze w tem niekoniecznie mądry. Zdarzy się tedy że będzie w polu obfito i sad także obrodzi... to od przybytku głowa nie boli, coś się przy tem chleba oszczędzi, coś na targ wywiezie i będzie z tem lepiej, jak bez tego. Kiedy znowu rola zawiedzie i mało co do stodoły się zwiezie, wtedy właśnie może Bóg na owocach poszczęści — i będzie z tego nie mała pomoc dla niego. Oj mądrze ten czyni co sobie wróży na dwoje!

Dobry gospodarz nareszcie jednej chwili nie zmarnuje; więc gdy się w domu z pracą upora, rzetelnego sobie zarobku poszuka. A dobrej woli człeku nigdy na tem nie braknie, wszędy go dobrze przyjmą, we dworze czy u księdza, jako że go z dobrej i uczciwej pracy znają. I nie dość że mu grosza kapnie do kalety na potrzebę domową, na podatki i inne przypadki, ale jeszcze nad to w dobrem będzie u ludzi zachowaniu i w każdym razie ma drogę otwartą do dworu i do księdza proboszcza, czy to po dobrą radę czy po jaką zapomogę — boć dobremu każdy rad.

Taki to u mnie dopiero gospodarz dobry, co się zwie: całą gębą. Nie zazna on tej paskudnej biedy co ją nazywają przednówkiem, a w najgorszym razie przynajmniej głodu nie ucierpi, bo u przyjaźnych ludzi znajdzie zawsze gotową pomoc dla siebie. Dajże nam Panie Boże jak najwięcej takich oto gospodarzy w kraju, aby raz przecie tej nieszczęsnej biedzie przyszło na koniec i nasi ludzie po wsiach z piękną wiosną, zamiast płaczu i lamentu, wraz z ptactwem śpiewającem wesoło Ciebie chwalić mogli — o! Boże!

RÓŻNOŚCI.

Stary Wilgus z Binczyc. Chociaż my prości ludzie, nie nauczeni na książkach, jeno sobie w roli pracujący, to taki dał Bóg nie jednemu z nas tyle rozumu i zmyślności, że się aż z tego nieraz dziwo robi innym uczonym po miastach. Ileż to mamy takich chłopaczków, co chodząc za bydłem, aby im się nie cknęło, wykręcą sobie z młodej wierzby piszczałkę, przystroją po swojemu, i jak zaczną na niej głosić różnie a różnie po polu, to słuchający tego człek, myślałby że oni ptaszków nałapali do swoich zielonych piszczałek co tak głoszą po polu różnie a różnie, a to oni sami z siebie niby ptaszkowie tak wygrywają. Albo i drugi — wystruga sobie takie skrzypki z lipiny, ponaciąga struny baranie, nawiąże końskiego włosia na smyk — i już ci muzyka z niego od ucha na ludzką pociechę. To znowu inny prostym kozikiem, jak na ten przykład górale nasi, co uwidzi — z drzewa wystruga, a tak jakoś zgrabnie i ładnie, że i majster uczony lepiej by tego niedokazał. Oj dał ci nam dobry Bóg dużo rozumu, ta i dał! niech by jeno przy tym rozumie jeszcze i do nauki była ochota, to i nie małoby ztąd dla kraju pożytku, a dla was pięknej sławy urosło.

Owóż jeden z takich zmyślnych nad podziw ludzi był do niedawna żyjący w Binczycach pod Raciboro-

wicami stary Wilgus. Dziwności rozpowiadają sobie o nim ludzie co go znali. I tak pewnego razu pękł dzwon na wieży w Raciborowicach. Lud się smucił, bo dawniej pięknym głosem dzwon ten wzywał pobożnych do modlitwy, a teraz klekotał jak stłuczony garnek. Sprowadzają różnych majstrów, ale nikt się nie chciał podjąć jego naprawy. Przychodzi i Wilgus z Binczyc, ogląda dzwon i powiada że mu głos przywróci. Wziąwszy cienki pilnik, czysto, gładko wyskrobał i wygładził dzwon, tam gdzie miał pęknięcie, a potem każe dzwonić. Parafianie aż osłupieli z zadziwienia i ledwie uszom swoim wierzyć chcieli, bo dzwon znowu tak mile dzwonił jak pierwej. Gdyby byli mogli, byliby złotem Wilgusa obsypali.

Pewnego razu na jarmarku nagle ze wszystkich stron krzyczeć zaczęto: Patrzcie! patrzcie! Wilguś jedzie! Na ten głos jeden za drugim biegnie i przypatruje się, a tu sobie Wilgus jedzie na targ wózkiem bez koni. Wilgus tak sztucznie wózek zbudował, że siedząc na nim tylko kręcił, a on leciał gdzie pan jego chciał, choć koni zaprzężonych nie było. Był to człek bardzo pobożny, na zysk nie chciwy, żył w obóstwie, dla każdego był grzeczny i przyjacielski, a zawsze zamyślony, z głową ku ziemi spuszczoną. Powiadał, że kiedy coś nowego chciał zrobić, to mu się najpierw we śnie objawiło, a kiedy się obudził, to już wiedział jak to zrobić. Przed kilku laty przemyślał on podobno nad sztuczną młockarnią i nad lepszem wiązaniem budynków; bo Wilgus znał się na mularstwie, na ciesiółce, kowalce, stolarce, malarstwie, a nawet zegarmistrzostwie.

Ktoś pytał: Mojeściewy ludzie powiedzcie no mi, dla czego to jeden choć niby nie wiele zarobi, a taki ma chleba podostadkiem, i wedle niego ochędożnie aż miło, i w komorze nie pusto, i w skrzyni nie ostatnio?

Odpowie drugi: Ta bo ciągle pracuje, mój ciekawy człeku, i choć to niby jak powiadasz niewiele, ale że ciągiem zarabia, to ma. Grosz do grosza spychany, przysparza chleba i sukmany. Kto zaś w niedbalstwie dzionek traci, ten się nigdy nie zbogaci.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Chrzan się chlubi: dobry ja z miodem, a miód na to: kat cię prosi, dobry ja i bez ciebie.
2. Kiedy pies spi, żyd przysięga, pijany się modli, a kobieta płacze, — rzadko wierzyć trzeba.
3. Kto we żniwa patrzy chłodu — Nacierpi się w zimie głodu.
4. To pan zdaniem mojem — Co przestał na swojem.
5. Bezbożny chleb, gdy z cudzych ziarnek.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**